

**Małgorzata Musierowicz**

# **Czerwony helikopter**

## START

Był wieczór. I oczywiście mama znów musiała powiedzieć to swoje: — Proszę posprzątać i poukładać zabawki!

Ciągle to samo, wiecznie to samo!

Andrzej miał tego wyżej uszu.

— Nie będę sprzątał, nie będę układał! — zawołał buntowniczo. Powiedział też, że mu się znudziło to wszystko i czy zabawki nie mogłyby sobie poleżeć w bałaganiku do jutra rana? Dlaczego jutro rano koniecznie trzeba budować nowy dom z klocków i na nowo rozkładać szyny kolejki elektrycznej? To przecież nie ma sensu!

Ale mama nie chciała tego zrozumieć. W dodatku znów postawiła przed dziećmi kubeczki z mlekiem. Jak co wieczór. A Andrzej nie cierpiał mleka! Odepchnął kubek, aż mleko chlusnęło, i powiedział:

— Proszę bardzo, niech mi się psują zęby, wcale mi to nie przeszkadza. I mogę też nie urosnąć, proszę bardzo. Całe życie mogę sobie być mały, wielka mi rzecz!

Pogniewał się, obraził i poszedł spać.

Kiedy się obudził następnego ranka, jego siostrzyczka Zosia wciąż jeszcze ciepłutko posapywała w pościeli. W pokoju było jakoś nieprzyjemnie. Na podłodze wały się zabawki, pod stołem bielą kałuża rozlanego mleka.

Andrzej wstał niechętnie, odszukał swoje okulary i włożył je na nos.

Bałagan wydał mu się jeszcze większy.

— Och, och — westchnął. — Znów ta codzienna nuda. Śniadanie, obiad, kolacja. Spacer, zabawa, książeczki. Telewizja, kąpiel i spanie. I znów od nowa. To nie do wytrzymania.

Było mu nieprzyjemnie, coraz bardziej nieprzyjemnie. Nie domyślił się, że jest mu przykro, ponieważ był niegrzeczny. Przypuszczał, że po prostu się nudzi.

— Tak, tak — powiedział sobie jedząc śniadanie. — Czas już ruszyć w świat.

Gwizdnął na palcach i wtedy nadleciał jego czarodziejski helikopter.

— O, a ty dokąd? — spytała mama.

Na widok mamy Andrzejkowi zmiękło serce i już chciał rzucić się jej na szyję, gdy nagle przypomniał sobie, że przecież jest obrażony.

— Odlatuję — powiedział. — Radźcie sobie jakoś beze mnie.

— Ależ, synku! Kiedy wrócisz? — zaniepokoiła się mama.

— Dokładnie nie wiem. Napiszę do ciebie z podróży — odpowiedział chłopiec. Spojrzał raz jeszcze na mamusię, po czym wyszedł przed dom, gdzie czekał już malutki, helikopter, czerwony, błyszczący i ślicznie pachnący smarami.

Andrzejek wsiadł, przekręcił kluczyk i zaraz usłyszał miły hałas silnika. Śmigło drgnęło i zaczęło wirować, co było po prostu wspaniałe. Już Andrzej miał się wzbić w powietrze, kiedy nadbiegła Zosia.

— A ja? — wrzasnęła. — Co będzie ze mną?

— Ty zostajesz — zdecydował Andrzej z bezwzględnością starszego brata.

— Nie chcę! — rozbeczała się Zośka i zaczęła szarpać warkoczyki.

Z domu wypadła mama i w ostatniej chwili znalazła się przy helikopterze. W rękę miała koszyczek.

— Co to? — spytał Andrzej obrażonym głosem,

— To tylko serniczek — nieśmiało wyjaśniła mama. — Z rodzynkami i skórką pomarańczową. Zapakowałam ci go na drogę.

— Andrzej chrząknął. Serniczek, hm... Serniczek? O ileż bardziej wolałby lubić krwawy befsztyk z niedźwiedziego mięsa...

— No, dziękuję ci — rzekł jednak łaskawie. — Z lukrem?

— Z lukrem — odparła mama. — Czekoladowym...

Głos jej trochę drżał. Wyciągnęła rękę i podała Andrzejkowi koszyczek.

Zośka nie chciała być gorsza.

— Masz tu — powiedziała wycierając nos. — To dla ciebie — wspięła się na palce i wrzuciła do kabiny dwie wielkie paczki balonowej gumy do żucia.

— I weź jeszcze to! — poprosiła mama, wciskając synkowi gruby, wełniany szalik.

Znów go traktują jak dzidziusia!

— O, nie! — rozżłościł się Andrzej nie na żarty. — Żadnych szaliczków! Odlatuję, pa!

I wystartował.

## WICIO

Zimne powietrze wpadło przez uchylone drzwiczki kabiny. Helikopter wzbijał się wysoko, coraz wyżej. Naokoło były gęste chmury i choćby Andrzej nawet chciał, nie mógłby już zobaczyć swojej mamy, jak stoi tam, na dole i kiwa mu ręką.

Nagle do kabiny wpadł ptak.

Andrzej się zdziwił. Już tyle razy latał swoim zaczarowanym helikopterem, a nigdy żaden ptak nie wpadł do kabiny.

Ten był podobny do kruka, ale czerwony.

— Gonią mnie — powiedział dysząc ciężko

— Kto? — spytał Andrzej.

— Piraci. Powietrzni piraci. Ratunku!

Andrzej rozejrzał się. Zobaczył tylko lśniąco spiętrzone zwały chmur. — Nie ma tu żadnych piratów, mój ptaszku.

— Są — upierał się ptak. — Westchnął i przedstawił się — Na imię mam Witold. Mów mi Wicio.

— A ja jestem Andrzejek. Mów mi Andrzej.

Ptak popatrzył na niego swoim zielonym okiem i jakby się uśmiechnął.

— Pięciu groźnych powietrznych piratów — powiedział. Zamknij lepiej drzwi.

Andrzej zasunął drzwi kabiny. I w tej samej chwili zobaczył piratów. Było to pięciu grubych drabów o nadętych minach. Ustawili się w powietrzu przed helikopterem i machając skrzydełkami, wpatrywali się uważnie w Andrzeja. Najgrubszy naburmuszony pirat podfrunął najbliżej.

— To ich dowódca — szepnął Wicio. Siedział na ramieniu Andrzeja i mocno pachniał cukierkami anyżkowymi.

— Dlaczego pachniesz cukierkami anyżkowymi? — spytał Andrzej.

— Och! — odparł ptak ze smutkiem. — Przez ostatni tydzień nie jadłem nic innego. Powietrzni piraci więzili mnie w swojej twierdzy. Sami jedli zupę szczawiową z jajkiem, a mnie wpychali te cukierki. Przeszedłem okropne chwile.

— Mam tylko sernik — powiedział Andrzej.

— Może być — zgodził się Witold i chętnie zjadł kawałek sernika.

Tymczasem powietrzni piraci okrążyli helikopter. Jeden nawet bezczelnie rozsiadł się na przedniej szybie i robił głupie miny.

Coś podobnego!

Tego to już Andrzej nie lubił.

— Już ja ci pokażę, pędraku jeden — mruknął pod nosem i mocno przyspieszył. Pęd powietrza rozpląszczył na szybie powietrznego pirata. I od razu okazało się, że nie jest on wcale taki dzielny, jak mogłoby się zdawać. — Mamusiu! — zapiszczał, co wyraźnie słyhać było w kabinie. — Mamusiu, boję się!

Andrzej przyspieszył jeszcze bardziej, a potem wykonał nagły zwrot.

Pirat odkleił się od szyby i poleciał w dół jak kamień.

## AWARIA

— Dziękuję ci, mój przyjacielu — powiedział Witold i musnął policzek Andrzeja swoim cytrynowożółtym dziobem.

— Drobiazg — odparł Andrzej. — Ale dlaczego oni cię ścigają?

— Chcieli ze mnie zrobić pieczeń, żarłoki obrzydłe. A ja tymczasem jestem niesmaczny. Dlatego paśli mnie tymi cukierkami. Myśleli, że będę smakował anyżkiem.

— To potworne!

— Wiesz co? Wylądujemy! — zaproponował Witold. — Powietrzni piraci groźni są tylko w powietrzu. Czy widzisz, jakie oni mają małe nóżki?

— Rzeczywiście — powiedział Andrzej, oglądając się z niejaką obawą na pędzących za helikopterem dryblasów. — Nóżki to mają maciupęńkie.

— To dlatego, że ich tak rzadko używali — wyjaśnił Witold. — Nie używane nogi zaczęły im maleć i usychać. Oni w ogóle nie umieją poruszać się po ziemi.

Andrzej ucieszył się tą wiadomością. Zmniejszył nieco szybkość i przygotował maszynę do lądowania.

Przeszli warstwę chmur i ujrzeli w dole błękitne, huczące morze i wyspy pokryte tropikalnymi lasami. Po złotym piasku przechadzały się zwierzęta.

Były to bardzo piękne wyspy, a dżungla na nich dzika i zielona. Kiedy lecieli tak coraz niżej, brzegiem morza, słyhać było z dołu skrzeczenie papug i donośny krzyk małp.

Nagle z boku helikoptera pojawił się powietrzny pirat. Nie wiadomo dlaczego uśmiechał się złośliwie.

— Łąduj! — wrzasnął Witold. Andrzej poruszył dźwignią — na próżno.

W tej samej chwili śmigło przestało się kręcić. Andrzej i Wicio spojrzeli w górę. Jeden z piratów zaklinował śmigło przy pomocy swojej szpady, a potem uwiesił się na nim oburącz i fikał sobie nogami.

— To już koniec! — załkał przerażony Wicio. — Czy naprawdę muszę skończyć swe życie jako pieczeń anyżkowa?

— Spokojnie — odparł Andrzej bez strachu, był to bowiem chłopiec niezwykle dzielny. — Spokojnie, jakoś sobie poradzimy. — Wyłączył silnik i helikopter zaczął szybko spadać.

Było to bardzo niemiłe uczucie — tak spadać i spadać. Wicio zamknął oczy.

— Nic się nie bój — powiedział Andrzej. — Trzeba tylko gwizdnąć na palcach, żeby helikopter znowu poleciał.

— To gwizdnij! — ucieszył się Wicio.

Łatwo powiedzieć: gwizdnij! Jak miał Andrzej gwizdać na palcach, kiedy oburącz trzymał stery uszkodzonej maszyny?

— Będzie, co będzie — powiedział ten niezwykle dzielny chłopiec.

I spadali.

Ziemia była coraz bliżej.

Powietrzni piraci krążyli wokół z olbrzymią szybkością. Widać wciąż jeszcze nie tracili nadziei, że Wicio wyskoczy z helikoptera.

Helikopter spadał, z gwizdem prując powietrze. I dopiero kiedy był tuż nad drzewami dżungli, Andrzej puścił jego stery i co sił gwizdnął na palcach.

Czarodziejski helikopter drgnął, wyprostował się jak podcięty, poleciał jeszcze kawałek, a potem wolniutko, miękko osiadł na złocistym piasku.

## MAŁPKI

Wicio i Andrzej wysiedli z kabiny. Było bardzo gorąco. Powietrzni piraci uwijali się ze złością nad ich głowami, ale nic już nie mogli zrobić.

Przyjaciele usiedli sobie w cieniu palmy kokosowej i rozglądali się wokół, rozkoszując się pięknym krajobrazu.

Z przeciwnej strony szły ku nim trzy małpki.

— Cześć — powiedziała najstarsza.

— Cześć — powiedzieli przyjaciele. — Co słychać?

— Nie jest dobrze — odparła małpka. — Jest bardzo niedobrze. Powiedziałabym nawet, że po prostu źle.

— Jak to? — spytał Wicio. — Jak może wam być źle na takiej pięknej wyspie? Spójrzcie wokół! Macie mnóstwo jedzenia, słońce, piasek, kolorowe kwiaty, świeżą wodę do picia i możecie się bawić przez całutki dzień.

— I nikt wam nie każe sprzątać i układać zabawek — dodał Andrzej.

— Otóż to — powiedziała małpka i dwie wielkie łzy spłynęły z jej oczu. — Nikt nam w ogóle nic nie każe. Jest źle. Nie ma naszej mamusi.

— Dlaczego jej nie ma?

— Została tam, na wyspie — chlipnęła małpka i pokazała daleką wyspę, ledwie widoczną na widnokręgu. — A nas tu przynieśli powietrzni piraci.

— Oni są bardzo niedobrzy i złośliwi — powiedziała druga małpka.

— I mówią strasznie brzydkie wyrazy — dodała trzecia.

— I nie kochają nikogo... — szepnęła znów ta pierwsza.

— I cieszą się, jak kogoś skrzywdzą...

Andrzej spojrział w niebo. Wciąż jeszcze latali nad nimi piraci, to nurkując między drzewami, to z dzikim wrzaskiem wznosząc się do chmur.

Najstarsza małpka stanęła blisko Andrzejka i pogłaskała go nieśmiało po rękę. — Zawieź nas do mamy... — poprosiła.

— Ja nie lecę — powiedział natychmiast ptak Wicio — ja się boję. Helikopter jest zepsuty. Piraci chcą mnie upiec. Dajcie mi spokój.

— Ale z ciebie tchórz! — odezwała się najmniejsza małpka.

— Wcale nie jestem tchórzem — obraził się Witold. — Ja tylko jestem ostrożny i dbam o siebie.

Andrzejek bez słowa podszedł do helikoptera i obejrzał śmigło. Właściwie nie było uszkodzone. Należało je tylko trochę dokręcić.

Małpki niepewnie podsunęły się w pobliże helikoptera.

— No, w drogę! — powiedział Andrzejek i uśmiechnął się do małpek.

Nadlecieli powietrzni piraci i pokrzykując ze złością, podfruwali do małpek, chcąc je pochwycić i unieść w powietrze.

Andrzejek szybko otworzył drzwi kabiny, posadził małpki i pokazał figę piratom. Potem sam wsiadł do helikoptera i z uwagą sprawdził, jak działa silnik.

Wszystko było w porządku.

Ptak Witold stał posepnie pod drzewem bananowca, ukryty za wielkimi liśćmi jakiejś kolorowo kwitnącej rośliny.

— Przecież widzicie, że nie mogę lecieć z wami! — krzyknął, choć nikt go nie pytał.

Przestąpił z nogi na nogę.

— Wcale nie jestem tchórzem! — powiedział żałośnie.

— Nikt się nie odezwał.

— No to ja lecę! — zdecydował się nagle ptak Witold i przebiegłszy kłusem odległość od bananowca do helikoptera, wskoczył gwałtownie do kabiny.

Piraci, wściekle wyjąc, rzucili się do przedniej szyby.

— Znów im zwałęm — stwierdził Witold. — Zuch ze mnie, co?

Andrzej włączył silnik i wystartowali.

## DOWÓDCA PIRATÓW

Był to bardzo niebezpieczny lot. Andrzej musiał wciąż zmieniać wysokość. Leciał to wyżej, to niżej, bo się obawiał, żeby któremuś piratowi nie przyszło znów do głowy wieszać się na śmigle. Pod nimi pienilo się morze — nie byłoby przyjemnie spaść teraz prosto w te głębiny. Kiedy Wicio spojrział w dół, wyraźnie zobaczył śmigające pod wodą cienie rekinów.

Ale na szczęście żaden pirat nie czepiał się helikoptera. Lecieli wszyscy obok i groźnie łypali swoimi niebieskimi oczami.

— Nasza wyspa! — ucieszyła się nagle najstarsza małpka. Andrzej spojrział w dół. Z szafirowego morza wyłaniała się duża, zielona wyspa, pokryta gęstą dżunglą.

— Lądujemy!

Powietrzni piraci natychmiast obsiedli przednią szybę i zaczęli się wykrzywiać, machając rękami i wydając okropne wrzaski. Potem wszyscy naraz uwiesili się na śmigle i dlatego Andrzej zmuszony był lądować w ten sam sposób, co poprzednio.

Kiedy wyskoczył z kabiny na piasek, był strasznie zdenerwowany. Zuchwalstwo piratów przekraczało wszelkie granice. Andrzej był w gruncie rzeczy chłopcem łagodnym (choć niezwykle dzielnym), ale jednej rzeczy nie mógł znieść: kiedy ktoś z niego kpił. Wpadał wtedy w straszny gniew.

Wyskoczył więc z helikoptera i czuł, że jest pełen gniewu. Niewiele myśląc złapał za nóżkę przelatującego nad nim pirata i wymierzył mu silnego klapsa w siedzenie.

— Uaaa! — rozbeczał się pirat.

Pozostali piraci zawiśli bez ruchu w powietrzu, wpatrując się w Andrzejkę z przerażeniem.

Okazało się, że Andrzej dał klapsa samemu dowódcy piratów!

Ptak Wicio patrzył na dzielnego chłopca z bezgranicznym podziwem.

Małpki aż otworzyły buzie ze zdziwienia.  
Dowódca piratów płakał i płakał, a Andrzej wciąż trzymał go za nogę.  
I wtedy z krzaków wyszedł ogromny lew.

## LEW

Każdy by się przestraszył Iwa, który nagle wychodzi z krzaków, powoli i groźnie, i oblizuje się purpurowym, mokrym językiem.

Andrzejek był chłopcem niezwykle odważnym, ale w pierwszej chwili aż się spocił z wrażenia. Wypuścił nogę powietrznego pirata, który wzbił się natychmiast w powietrze i dopiero na dużej wysokości zaczął się śmiać i kpić z Andrzeja.

Piraci byli bezpieczni tam, wysoko, Andrzej natomiast stał zaledwie o dwa kroki od Iwa, który już otwierał swoją ogromną, żarłoczną paszczę pełną zębów...

— Dzień dobry, panie sąsiedzie! — pisnęła najstarsza małpka, i zdziwiony lew z kłapięciem zamknął paszczę.

— O? — powiedział. — To wy, moje małe? Skąd wy tutaj?

— Przywiózł nas ten wspaniały chłopiec — powiedziała małpka. — To nasz prawdziwy przyjaciel.

— Hm... to zmienia postać rzeczy... — mruknął lew. — Więc nie mogę go zjeść?

— Za nic w świecie! — krzyknęły małpki chórem.

— Szkoda — powiedział lew. — Zresztą znajdę sobie inne danie mięsne. A wy biegnijcie do mamy, biedaczka aż posiwiła z tęsknoty.

I odszedł powoli.

— Chodź z nami, Andrzejku! — zawołały małpki, ale Andrzej pokręcił głową.

— Biegnijcie same — powiedział. — Ja muszę znaleźć Witolda.

Bo Wicio zginął. Przepadł. Ulotnił się. Jak tylko zobaczył Iwa, wpadł w zarośla dżungli jak kamień w wodę. I nie było go widać.

— Wiciu! Witusiu! — nawoływał Andrzej, podczas, gdy małpki pędziły po gałęziach drzew do swojej mamusi. — Wiciu! Odezwij się!

Ale Witold był widocznie zbyt przestraszony. Zwłaszcza że w powietrzu rozległy się nagle groźne wrzaski — to nadciągali powietrzni piraci, przepełnieni żądzą zemsty. Jak wszyscy tchórze, czuli się silni tylko w grupie. Pojedynczo — każdy z nich był beksą i mazgajem.

— Teraz ci pokażemy! — wrzeszczeli.

Andrzej ani myślał uciekać. Zebrał kilka leżących pod palmą dużych orzechów kokosowych i począł nimi ciskać w piratów.

— Zjeżdżać mi stąd, tchórzliwa bando! — krzyknął.

Trafił w dowódcę i jeszcze w dwóch. W powietrzu dały się słyszeć okrzyki bólu, i piraci, trzymając się za obolałe miejsca, odfrunęli.

Ale gdzie był Witold?

Andrzej zagłębił się w dżunglę i wciąż nie widział swego przyjaciela.

— Witek! Witusiu!

Ani śladu Witusia.

Andrzejek stanął pod drzewem i oddał się smutnym rozmyślaniom.

## BURZA

Nagle rozległ się okropny grzmot i już po chwili z nieba lunęły potoki deszczu. Jaskrawożółte błyskawice przebiegały wśród ciemnych chmur. Burza była coraz okropniejsza.

Andrzej był chłopcem bardzo odważnym, ale trochę się jednak przestraszył. Odważni ludzie także odczuwają strach. Tylko że potrafią go przełamać i postępować tak, jakby się wcale nie bali.

Andrzej wstał i zaczął głośno śpiewać. Potem zerwał sobie ogromny liść na grubej łodydze i osłaniając się nim jak parasolem, pomaszerował naprzód w szalejącej ulewie.

Wtem olbrzymia błyskawica oświetliła wszystko wokół i Andrzej zobaczył przed sobą równy gąszcz krzewów. Wszedł na drogę prowadzącą gdzieś w mrok i posuwał się naprzód przy blasku błyskawic.

Po krótkim marszu spostrzegł, że droga prowadzi do wspaniałego pałacu. Widać go było niedaleko w dolinie. Był to śliczny pałac. Na jego białych ścianach, oświetlonych narożnymi latarniami, połyskiwały złote rzeźby i girlandki, złote były też hełmy wież, a w jednym oknie zachęcająco ciepłe światło.

Jakże bardzo Andrzej chciał się znaleźć w tym pałacu! Niestety, straszliwa ulewa zmieniła drogę w rwący potok, którego nurt zbijał chłopca z nóg. Oj, jak by się teraz przydał helikopter! Andrzej wsadził do ust mokre palce i usiłował gwizdnąć. Kiedy jednak wreszcie mu się to udało, sam prawie nie słyszał swojego gwizdnięcia pośród gromów i szumu ulewy.

Z największym trudem wykaraskał się z zimnej, gliniastej kąpieli; tuż obok drogi leżał wielki pień zwalonego drzewa. Andrzej chwycił za gałąź, wgramolił się wysoko na pień i usiadł, ciężko dysząc.

Zrobiło mu się nagie bardzo smutno. Przypomniawszy sobie swój kochany dom, swoją kochaną mamusię i kochanego tatusia, i swoją kochaną siostrzyczkę Zosię, która wprawdzie dosyć często zachowywała się po prostu jak jędra, ale właściwie była przemiła.

Andrzej dygotał z zimna i myślał sobie, że dobrze byłoby mieć tu sweter. Albo, na przykład, choćby ciepły szaliczek...

Postanowił nie płakać. Wyjął z koszyczka przemoczony kawałek sernika. Zjadł sobie i poczuł się nieco lepiej.

— Co tam — pomyślał. — Nie będę się przecież mazgać. — I przypomniał sobie, co mu często powtarzał tatuś: Nie wolno się poddawać bez walki.

Więc Andrzej postanowił walczyć ze strachem i zmęczeniem.

Wstał, strzepnął z koszulki okruchy sernika i śmiało ruszył przed siebie, wymachując koszyczkiem, w którym miał już tylko dwie paczki balonowej gumy do żucia.

Na szczęście deszcz ustał. Burza oddalała się. Tylko od strony morza dobiegał jeszcze groźny pomruk grzmotów.

Andrzej brnął przez potoki wody i wkrótce dotarł w poblize pałacu.

Światło z okienka padało na białe marmurowe schody i słychać było cichutką, delikatną muzykę.

I ślicznie pachniało gorącym kapuśniakiem.

Andrzejek poczuł, że jego żołądek ściska się z głodu. Kto mógłby się najeść kawałkiem mokrego sernika? Chyba tylko wróbelek. A Andrzej był przecież dużym i silnym chłopcem!

I w dodatku szalenie lubił kapuśniak.

Wbiegł po marmurowych schodach i znalazł się w wielkim, pustym hallu.

Otworzył drzwi z lewej strony — nikogo.



Otworzył drzwi z prawej strony — nikogo...  
Zapach kapuśniaku napłynął znów wonną falą.  
Andrzej pociągnął nosem i poszedł za tym zapachem.  
Otworzył wielkie, złote drzwi, znajdujące się w końcu złotego korytarza i zobaczył wielki, złoty stół, za którym samotnie siedział wielki, groźny smok.

## SMOK

— A to co? — zdziwił się smok basem. — Kim jesteś?  
Andrzej w pierwszej chwili zamarł ze strachu, potem chciał szybko uciekać, ale już niebawem zbudził w sobie odwagę:  
— Jestem Andrzej — powiedział. — Smacznego! — smok bowiem miał przed sobą wielką miche, pełną kapuśniaku, a ze złotej wazy, stojącej pośrodku stołu, wydobywały się kłęby smakowicie pachnącej pary.  
— Przychodzą, nadchodzą, nudzą i marudzą, męczą i brzęczą — zauważył smok z niezadowoleniem. — Nie można w spokoju zjeść kolacji.  
Przełknął z mlaskaniem dwie łyżki kapuśniaku.  
— No i czego to się boisz? — mruknął patrząc na Andrzejkę. — Wcale się nie boję — powiedział chłopiec. — Nic a nic.  
— Boisz się i stoisz — rzekł smok. — Siadaj i nie gadaj.  
Andrzej usiadł przy stole.  
— Służba! — zawołał smok, i drzwi się otworzyły. Do pokoju wpadł Wicio ubrany w pasiastą kamizelkę.  
— Słucham pana — rzekł służalczo.  
— Przynies talerz i łyżkę, mój chłopcze — polecił mu smok. — Migiem, migiem!  
Spojrzał na Andrzejkę, który machał ręką do Witolda.  
— Czy znasz mego lokaja? — zapytał.  
. — Tak, proszę pana — odparł grzecznie Andrzejek.  
— Zatrudniłem go przed chwilą, choć jest tylko gawronem — powiedział smok basem. — Jestem zresztą ubogim rencistą i nie stać mnie na lokaja z prawdziwego zdarzenia.  
— Pan jest rencistą?  
— Tak, mój chłopcze — mruknął smok. — Kły i pazury. Starość nie radość. Ale nie upadam na duchu. W gruncie rzeczy, wspaniale ze mnie chłopisko.  
Drzwi otworzyły się ponownie i wleciał Witold z talerzem i łyżką w dziobie.  
— Proszę nalać — rozkazał smok.  
Wicio nabrał kapuśniaku wielką chochlą i wlał do talerza Andrzeja.  
— Nudy na pudy — powiedział smok, okropnie siorbiąc z łyżki. — Jedzenie i trawienie. Absolutnie żadnej rozrywki — oto smutny los rencisty. Nie znasz przypadkiem jakiejś dobrej zagadki?  
— Znam — odparł Andrzej przełykając kapuśniak. — Proszę wyszukać w tym pokoju wszystkie przedmioty na „k”.  
— Zaraz — ucieszył się smok. — Wszystkie na „k”, powiadasz? — i rozejrzał się po pokoju.  
— Kapuśniak! — zawołał radośnie.  
— Dobrze — pochwalił go Andrzej. — A jeszcze?  
— Nie ma już nic na „k” — niepewnie powiedział smok.

— O, nie — oświadczył Andrzej. — Pan jest po prostu mało spostrzegawczy.  
— Coś podobnego! — obraził się smok. — Jesteś źle wychowanym oseskiem! — i w jego czerwonych oczach zapaliła się złość.  
— Znam jeszcze inną zagadkę — powiedział Andrzej. — Proszę wyszukać w tym pokoju wszystkie pary.  
Smok zastanowił się głęboko i powiedział:  
— Już wiem! Para unosi się z naszych talerzy i z wazy na kapuśniak. Innych par tu nie ma.  
— Ależ nie o tę parę mi chodzi! — zaśmiał się Andrzej. — Para to także dwie rzeczy takie same, na przykład skarpetki. Lewa i prawa.  
— Nie noszę skarpetek — ponuro odparł smok. — Nigdy nie ma w sklepie mojego rozmiaru. — Zastanowił się. — Kiedyś miałem skarpetki. Po dziadku. Ale też ich nie nosiłem, bardzo cisnęły mnie w paluszki.  
Podniósł ze stołu złoty dzwonek i potrząsnął nim, wołając:  
— Służba!  
Drzwi się otworzyły i gorliwie wpadł Wicio.  
— Słucham pana — odezwał się z ukłonem. Wcale nie patrzył na Andrzejkę.  
— Proszę zabrać tego tutaj — polecił mu smok. — Schować do lodówki, a jutro upiec na margarynie, z cebulką. — Po czym dodał po namyśle: — I proszę nie zapomnieć o majeranku! — uśmiechnął się do Andrzejki. — Będę miał z ciebie pyszny obiadek.  
— Jak to? — spytał Andrzej przerażony. — Panie smoku, pan chyba żartuje?  
— Ani trochę — odparł smok. — Zjem cię, pulpeciku. Obiadek bez zagadek. Znudziłeś mnie i zmęczyleś. Zresztą, zjadłbym cię i tak. Lokaj! Zabrać stąd pulpeta! Tylko żeby mi nigdzie nie zginał, bo wtedy musiałbym zjeść ciebie!  
Wicio zadrżał z przerażenia.  
— Tak jest — odpowiedział ulegle i chwyciwszy Andrzejkę dziobem za kołnierz, wyprowadził go na korytarz.

## UCIECZKA

— Musisz poczekać — wyszeptał Wicio wprost do ucha Andrzeja. — Zaraz podam smokowi smażone ziemniaczki, potem on zaśnie, a my uciekniemy.  
— Dobra! — powiedział Andrzej. — Wiciu, skąd ty się tu wzięłeś?  
— Przygnała mnie burza — odparł Wicio, wdrygając się od okropnych wspomnień. — Och, omal nie zginałem w tej ulewie! Wiatr wrzucił mnie przez okno, wprost na stół smoka. Na całe szczęście smok chciał, żebym został jego lokajem. Widzisz, jak to dobrze: dzięki temu mogę cię teraz uratować!  
— Jesteś moim prawdziwym przyjacielem — powiedział Andrzej wzruszony. — Nigdy ci tego nie zapomnę.  
— No, coś ty, coś ty... — zamrugał speszony Wicio. — Nie ma o czym mówić. Lepiej zastanówmy się, jak będziemy uciekać.  
— Helikopterem, oczywiście.  
— Bo ja wiem... — mruknął Wicio. — Tam są przecież piraci powietrzni — machnął ręką w kierunku wybrzeża. — Jestem już za stary na te ich sztuczki ze śmigłem.  
— Piraci to nie bieda. Smok gorszy.  
— No, to idę smażyć ziemniaki — rzekł Wicio. — A ty poczekaj za pałacowym żywołotem.

Andrzejek wyszedł więc na dwór i usiadł za żywopłotem. Czekał i czekał, a Wicio wciąż się nie zjawiał. Było już całkiem ciemno, ciepła noc rozpostarła się nad chłopcem. Na niebo wyszedł duży, zielonkawy księżyc, a z dżungli słychać było pojedyncze okrzyki ptaków i daleki ryk lwa.

Nagle w ciemności, tuż obok Andrzeja, zaszeleściły gałązki żywopłotu i coś usiadło chłopcu na ramieniu.

— To ja — szepnął Witold. — Uciekajmy!

— Smok śpi? — spytał Andrzej również szeptem.

— Chyba tak. Kiedy wychodziłem, pił właśnie ziółka i przykrywał się kołdrą.

— Odejdźmy stąd trochę dalej — zaproponował Andrzej. — Tam przywołam helikopter. Boję się, że hałas mógłby obudzić smoka.

— Ale ja się boję lwa w dżungli — zaprotestował Wicio — nigdzie nie będę odchodzić. Mowy nie ma.

Więc Andrzej gwizdnął na palcach i już po chwili zza ciemnej masy drzew wyleciał zaczarowany helikopter, mrugając wesoło światełkami.

Miły, kochany helikopter.

Szkoda tylko, że taki głośny.

Warkot silnika rozległ się donośnie na dziedzińcu przed pałacem. W oknie smoczej sypialni zapaliło się światło. Smok się obudził.

## POGOŃ

— Szybko, wsiadajmy! — zawołał Wicio. — Widzę już cień smoka na szybie!

Wskoczyli błyskawicznie do helikoptera i wystartowali. Lecz w tej samej chwili okno sypialni otworzyło się z trzaskiem i wychylił się z niego smok z lornetką myśliwską przyłożoną do oczu.

— Aaaa! — ryknął donośnie. — Mój obiad ucieka!

Rzucił lornetkę, naciągnął na siebie jedwabny szlafrok i wyfrunął przez okno z ogromną szybkością.

Andrzej i Wicio, drżąc z przerażenia, skulili się w przezroczystej kabinie.

— Jeśli dogoni, pożre nas obu — jęknął Wicio. — Na surowo Boisz się, Andrzejku?

— Boję się — odparł Andrzej. — Ale ty się nie bój, zaraz coś wymyślę. — Był to naprawdę niezwykle dzielny chłopiec.

— Byle do dżungli — dodał. — Ukryjemy się jakoś między drzewami.

Księżyc świecił jasno i doskonale widać było smoka i jego powiewający biały szaliczek. Smok miał minę bardzo, ale to bardzo rozgniewaną i leciał prawie tak szybko, jak helikopter.

— Zaraz nas dogoni — powiedział Wicio drżącym głosem. Na szczęście w dole ciemniał już skraj dżungli. Andrzej znienacka przycisnął dźwignię i helikopter dał nura między korony drzew.

Smok zgubił ślad. Jakiś czas fruwał bezradnie ponad drzewami, wreszcie rozgniewany opuścił się niżej.

Andrzej i Wicio siedzieli cichutko w kabinie. Helikopter z wyłączonym silnikiem spoczywał między gałęziami ogromnego drzewa.

Smok pokreślił się trochę w okolicy, poryczał groźnie i wreszcie zmęczony usiadł wśród kwiatów.

— Znudzi się i odleci — cieszył się Wicio.

I w tym momencie trzy wesołe głosiki zakrzyczały radośnie:

— Dobry wieczór! A co wy tu robicie? Przed kim się chowacie?

Były to trzy małpki i ich mamusia. Podbiegły do przyjaciół po gałęziach drzewa i z wielką radością rzuciły się na szyję Andrzejkowi.

Smok zerwał się z trawy i już był przy helikopterze.

— Mam was! — krzyknął. — Wyłazić mi z tej skorupy!

Wicio rozplakał się z przerażenia:

— Ja jestem niesmaczny! Ja jestem niesmaczny! — wołał.

— Wyłaż, pulpecie! — ryczał smok, wielką łapą gmerając w kabinie.

Andrzej zagryzł usta. Co robić, co robić? Nagle zupełnie przypadkowo ręką natrafił na koszyczek, który dała mu mama, i wtedy wpadł mu do głowy genialny pomysł:

— Panie smoku — powiedział spokojnie i rzeczowo.

— No, co? No co? — denerwował się smok. — Wychodzisz, pulpecie, czy nie?

— Wychodzę — odrzekł Andrzej. — Zaraz mnie pan będzie chrupał. Ale przedtem chciałbym poczęstować pana niezwykłym smakołykiem.

— Tak? — ucieszył się smok. — To dawaj!

Andrzej szybko z papierków cały zapas balonowej gumy do żucia — a było jej bardzo dużo, przecież Zośka podarowała mu aż dwie paczki. Złożył razem wszystkie kawałki gumy i przez szparę w drzwiach wsunął je w paszczę smoka.

— Musi to pan najpierw dobrze pożuć, a potem połknąć — powiedział. — Wspaniały przysmak, zapewniam pana.

Smok zaczął żuć gumę i wydawał się być tym wręcz zachwycony.

— Pycha — powiedział. — Smakuje wisienkami.

— Niech pan teraz z tego balon — poradził mu Andrzej, chcąc wiedzieć, czy guma jest wystarczająco przeżuta.

Smok wydmuchał ogromny balon, a potem nagle połknął wszystko razem.

Przez chwilę siedział bez ruchu, naraz zaczął się wydymać.

— O! — zawołał. — Czuję się dziwnie najedzony! I brzuch mam taki pękaty...

Wicio przestał płakać i z ciekawością spojrział na smoka.

— Nie mogę nawet myśleć o jedzeniu — mówił smok. — Och, mój żołądek!

Nagle złapała go czkawka tak silna, że z pobliskiej palmy zaczęły spadać orzechy kokosowe.

— Jestem wypchany po uszy! — krzyknął. — Oj, oj! Co się ze mną dzieje?

Wszyscy ze zdumieniem zobaczyli, że wydęty smok, bezradnie przebierając łapami, unosi się w powietrze jak balonik. Zerwał się lekki wiatr i pchnął smoka jak mydlaną bańkę.

— Tak jak myślałem — rzekł Andrzej. — Zrobił mu się balon w brzuchu. Jesteśmy uratowani. W drogę!

Uściskali małpki i wystartowali.

Smok zaryczał z bezsilną złością, był już jednak niegroźny.

Helikopter wesoło zawarczał i poleciał w seledynowym świetle księżyca ponad dżunglą w kierunku morza.

Andrzej i Wicio siedzieli w przytulnej kabinie i śpiewali na całe gardło. Powietrzni piraci widocznie spali o tej porze, lot był więc całkiem bezpieczny i miły. Słysząc było jeszcze wściekłe ryki smoka, ale obaj przyjaciele tym się nie przejmowali.

Byli już bardzo daleko.

**ZOSIA**

Mijał już drugi dzień, a Andrzej nie wrócił z podróży. Mama płakała, tatuś stał przy oknie zdenerwowany i wciąż wypatrywał synka.

W domu było smutno.

Wobec tego Zosia postanowiła wyruszyć na poszukiwanie. Zaczekała trochę, aż tatuś wyjdzie do pracy, a mama po zakupy. Ubrała się, uczesała, założyła na szyję trzy różne sznury koralików, zawiązała na warkoczykach wstążki, przymierzyła trzy sweterki i wreszcie zdecydowała się na ten niebieski.

Kiedy uznała, że wygląda ślicznie, wyjęła z szafki maminą torbę i zajęła się pakowaniem.

Na spód torby wsadziła zapasową bieliznę.

Potem dorzuciła igłę z nitką w specjalnym pudełeczku.

Nożyczki.

Zapałki.

Wodę kwiatową mamusi.

Okulary słoneczne.

Olejek do opalania.

Długopis i notesik.

Paczkę krówek śmietankowych.

Herbatniki.

Butelkę pepsi–coli.

Kilka kanapek.

Mydło i szczotkę do zębów.

Pastę.

I mały ręcznik.

Potem zapięła starannie torbę, zawiesiła ją na ramieniu, pożegnała swoją ukochaną laleczkę — był to milutki dzidzius z różowego plastyku — i wyszła. Obok telefonu zostawiła kartkę:

*Wróć z Andrzejem — Zosia*

Opuściwszy mieszkanie zamknęła starannie drzwi. Na schodach spotkała Krzysia, sąsiada z trzeciego piętra.

— Cześć — powiedział. — Dokąd idziesz?

— Andrzej zaginał — wyjaśniła Zosia. — Idę go szukać. Zawsze jakieś kłopoty z tym chłopakiem. Już nie mam na to wszystko zdrowia.

— Ciekawe — zauważył Krzysio. — Andrzej tak samo mówi o tobie.

— Nie wtrącaj się — obraziła się Zosia.

Krzysio spojrzał na nią z politowaniem.

— I tak go nie znajdziesz — powiedział — a jeszcze sama zginiesz. Na twoim miejscu zostałbym w domu. Andrzej sobie poradzi, to zuch chłopak.

Zosia nawet mu nie odpowiedziała. Spokojniutko wyminęła go na schodach i wyszła przed dom.

Od razu zobaczyła smoka. Leżąc na plecach, płynął z wolna w porannym powietrzu, popychany łagodnym wietrzykiem. Nagle wietrzyk ustał i smok zatrzymał się w miejscu, lekko się tylko kołysząc. Wisiał zupełnie nisko. Zosia podeszła bliżej.

Smok miał ogromny, wydęty brzuch jak balon, a nawet jak dwa balony. Dzięki temu brzuchowi unosił się w powietrzu bez najmniejszego wysiłku.

A najdziwniejsze w tym wszystkim było, że smok spał. Strasznie zresztą chrapał przez sen.

— Biedne zwierzątko! — rozczuliła się Zosia. Podeszła do wiszącego w powietrzu smoka i delikatnie pogłaskała go po głowie.

Smok ryknął i obudził się.

— Gdzie jestem?! — wrzasnął okropnym głosem.

— Tu — wyjaśniła Zosia.

Smok przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

— Tłuściutka — stwierdził. — Pulpet! Uhm, uhm! Pulpet! — przypomniał sobie. — Pulpet Andrzej! To on mnie tak urządził!

— Andrzej!? — krzyknęła Zosia. — Jak wyglądał? Taki przyjemny, w okularach?

— W okularach, ale nieprzyjemny! — warknął smok. — Gagatek! Dał mi gumę balonową i kazał połknąć. I spójrz, spójrz tylko na mnie! W jak nędznym i przymusowym znajduję się położeniu!

Zosia odetchnęła.

— A to łobuz! — powiedziała. Była bardzo zagniewana, bo przecież nie wiedziała, dlaczego Andrzej nakarmił smoka gumą balonową. Nie miała pojęcia, że smok chciał pożreć jej brata, i dlatego postanowiła pomóc skrzywdzonemu zwierzątku.

— Poczekaj, mój biedaczku — rzekła czule. Miała dobre serduszko i bezustannie spieszyła wszystkim z pomocą, czy ktoś tego potrzebował, czy nie.

— A co? — spytał smok podejrzliwie. — Chcesz może zawołać milicjanta?

— Nie, spróbuję ci pomóc — wyjaśniła Zosia. Postawiła torbę i ściągnęła smoka za ogon. — Połóż no się na trawie, a ja cię przycisnę kamykiem.

— I co dalej? — spytał smok, przytrzymując sobie kamień na brzuchu.

Zosia zastanowiła się. Wyjęła z torby specjalne pudełeczko z przyborami do szycia.

— Przekłuję ci brzuch — powiedziała. — Leż spokojnie, to nie będzie bolało. Musimy wypuścić z ciebie powietrze. — Posmarowała skórę na brzuchu smoka wodą kwiatową. — To przeciw bakteriom — wyjaśniła.

— Boję się bakterii! — wrzasnął smok.

— Zachowuj się jak mężczyzna! — fuknęła Zosia. — Jak będziesz dzielny, to dostaniesz krówkę do zjedzenia.

— Krówkę! — ucieszył się smok, zapominając o strachu. — Pieczoną, gotowaną, czy na surowo? W każdym razie koniecznie musi być z pietruszką i struganym chrzanem!

Zosia wcale go nie słuchała. Odstawiła flakonik z wodą kwiatową, po czym wbiła igłę. Smoczysko skórę miało tak grubą, że nawet nie poczuło ukłucia. Powietrze uszło z niego z sykiem jak z przedziurawionej dętki.

— Och, nareszcie! — krzyknął, kiedy brzuch miał już całkiem płaski. — Znow wolny! Znow głodny! Gdzie ta krowa?

— Krówka — poprawiła go Zosia i wyjęła z torby paczkę cukierków śmietankowych. — Proszę, należy ci się.

Rozwinęła papierek i wsadziła krówkę w smoczą paszczę. Smok ostrożnie spróbował.

— O nieba! — wrzasnął nagle. — O bogowie! Jakież to pyszne, jakie wspaniałe!

Zjadł mlaszcząc i zażądał jeszcze.

Zjadł drugą, trzecią, czwartą, aż wreszcie Zosia powiedziała, że więcej cukierków smok nie dostanie.

— Zawieź mnie najpierw do Andrzeja — dodała.

— Do pulpeta? — spytał smok. — Ależ on mi uciekł! Nie wiem nawet, gdzie jest!

— No, to nie będzie krówek! — rzekła Zosia twardo i zamknęła torbę. — Do widzenia!

— Stój! — ryknął smok. — Dokąd idziesz?

— Ach, no cóż — Zosia westchnęła leciutko — sama go jakoś znajdę. On też bardzo lubi krówki.

— Dobra, dobra, już lecimy — powiedział smok i podniósł się spieszenie z trawy. — Wsiadaj na mój grzbiet, poszukamy tego pulpeta.

Zosia uśmiechnęła się łaskawie, dała smokowi krówkę na zachętę i poleciała.

## KORALIKI

— To już moje strony — powiedział smok, kiedy po długiej podróży znaleźli się nad dżunglą.  
— O, tu, w tym właśnie miejscu widziałem ostatnio tego łobuza.

Zosia zmarszczyła brwi.

— Proszę cię — rzekła stanowczo — żebyś się wyrażał z szacunkiem o moim bracie.

Smok nasrozył się, obejrzał przez ramię i już chciał ryknąć, gdy przypomniał sobie, że z dziewczynką, która ma w torbie takie wspaniałe przysmaki, lepiej żyć w zgodzie.

— Dobrze, dobrze — mruknął pojednawczo.

— No, więc? — spytała Zosia. — Dokąd mnie teraz wieszysz?

— Znużony i zmęczony — mruczał smok — postoję i spokoju, oto czego mi teraz trzeba — i sapiąc ciężko, osiadł na wielkim baobabie. — Nie wiem, dokąd lecieć... — pozałił się. — Kiedy twój brat uciekał, wisiałem w powietrzu jak balon, więc nie wiem, w którą poleciał stronę.

W liściach baobabu coś zaszeleściło i cienki głosik pisnął:

— Poleciełi na północ.

Trzy małpki i ich mama siedziały równiutkim szeregiem na gałęzi i przyglądały się Zosi.

— Bardzo miły jest twój braciszek — powiedziała małpia mama — przywiózł mi moje dzieci. I nie bał się niczego. To dzielny chłopiec!

Zosi zrobiło się przyjemnie.

— Jakie pani ma ładne korale — wykrzyknęły chórem małpki, którym Zosia bardzo się podobała.

Zosi zrobiło się przyjemnie po raz drugi. Postanowiła obdarować małpki. Sama ogromnie lubiła korale, pierścionki, broszki i inne błyskotki, rozumiała więc, co muszą czuć małpki, po raz pierwszy w życiu ujrzawszy tak wspaniałe klejnoty.

Zdjęła z szyi sznur czerwonych kulek (tych złocistych, błyszczących było jej żal, a znów te zielone dostała od cioci) i podała małpkom, które natychmiast zaczęły się kłócić.

— Ja pierwsza powiedziałam!

— Ale mnie jest najładniej w czerwonym!

— A ja jestem najmłodsza!

Zosi całkiem zmiękło serduszko.

— Biedne zwierzątka — pomyślała i bez namysłu zdjęła z szyi złociste korale. — Weźcie i te — powiedziała.

Złociste korale otrzymała najstarsza małpka, średnia miała już na szyi czerwone, i tylko najmłodsza siedziała z buzią w podkówkę. Zosia pogłaskała ją po główce i dała jej zielone korale.

Chociaż sama nie miała już teraz żadnej ozdoby, czuła się dziwnie miło i wesoło. — Ciekawe — pomyślała. — O wiele milej jest dawać, niż brać. Wcale się tak wspaniale nie czułam, kiedy dostawałam w prezencie te korale. — Popatrzyła na uszczęśliwione małpki i usiadła wygodnie, opierając się plecami o gruby konar drzewa.

Obejrzała się na smoka — smok spał. Więc porozmawiała sobie z małpkami i ich mamusią i dowiedziała się od nich wszystkiego, całej prawdy o wydarzeniu z gumą balonową.

Od razu przestała się gniewać na brata. Ale za to zaczęła się bardzo niepokoić. Gdzie on teraz może być? Czy nie stało mu się coś złego?

Postanowiła natychmiast ruszyć w drogę. Małpki pokazały jej, w którym kierunku odleciał helikopter, więc czym prędzej obudziła smoka, podsuwając mu pod nos rozwiniętą z papierka krówkę.

— Dawaj! — kłapnął on, budząc się gwałtownie.

— Jedziemy — ostro powiedziała Zosia, która już zupełnie przestała lubić smoka. Wrzuciła mu w paszczę cukierek i polecieł.

## PORWANIE

Pogoda była przepiękna. Smok szybował po błękitnym niebie, mijał nieliczne tylko białe obłoczki. Zosia musiała przyznać, że latać to cudowna rzecz, nawet na osobie tak nieprzyjemnej, jak smok.

Przelecieli już nad ogromnym morzem, nad pięknymi wyspami i znaleźli się nad jakimś olbrzymim łądem. Smok sfrunął trochę niżej i zaraz też Zosia poczuła ciepły zapach wilgoci, bijący od gęstych, zielonych zarośli dżungli.

— Ha! — wrzasnęły naraż jakieś dzikie głosy. — Mamy was!

— O rety! Powietrzni piraci! — jęknął smok. — Nie potrafię im uciec. Jestem już zbyt zmęczony.

Piraci, okropnie wrzeszcząc i wymachując szpadami, okrążyli smoka i ciekawie przyglądali się siedzącej na nim Zosi, dotykali swoimi wielkimi łapskami to jej nosa, to warkoczyków, to znów torby.

— Leć prędzej! — zawołała Zosia do smoczego ucha.

— Ufff, ufff! — sapał smok. — Nie mogę, nie mogę!

— Prędzej! Proszę cię! — nagliła Zosia, opędzając się od natrętnych piratów.

Ale smok w odpowiedzi tylko sapnął.

A powietrzni piraci złapali Zosię pod ręce i sfrunęli z nią w dół.

— Hola! — ryknął smok. — Co robicie? Jakim prawem? Krówki były moje!

I pofrunął za nimi.

— Bierzemy ją do niewoli — odwrzasnął w odpowiedzi dowódca powietrznych piratów.

— To mnie też! — ryczał błagalnie smok, widząc z rozpaczą, jak Zosia wraz z torbą pełną krówek oddala się coraz szybciej.

Ale nikt nie chciał brać smoka do niewoli. Więc tylko krążył w kółko po błękitnym niebie i z wysoka śledził lot powietrznych piratów.

## W NIEWOLI

Piraci sfrunęli całkiem nisko, między drzewa, gdzie było wilgotno, ciepło i mroczno. Ogromne, bujne rośliny i kolorowe kwiaty pięły się w splątanym tłoku. Dowódca piratów leciał pierwszy i ostrzem szpady rozciął lodygi zasłaniające przejście.



Po długim locie znaleźli się przed jaskinią, widniejącą pod samym szczytem wysokiej góry. Wejścia broniły drzwi z grubych pni drzewnych. Dowódca piratów otworzył je wielkim kluczem i wszyscy razem wlecieli do wnętrza oświetlonej jaskini.

Było tu brudno, brzydko i ponuro. Powietrzni piraci najwyraźniej nigdy tu nie sprząkali. I nigdy nie wyrzucali śmieci — całe ich góry zalegały kąty jaskini.

— No, no — odezwała się Zosia — ależ z was brudasy.

Wcale jej nie słuchali. Zamknęli drzwi i rzucili się do stołu, gdzie stały miski z owocami.

— To moje! Moje! — wrzeszczeli, wyrrywając sobie miski. Zaraz też dwóch się pobiło, a jeden wcisnął się w kąt i beczał.

Zosia mocno klasnęła w ręce:

— Spokój! — zawołała.

Zrobiło się cicho. Piraci patrzeli na nią, wytrzeszczywszy oczy.

— Jak wam nie wstyd tak się bić! — powiedziała Zosia. — I to przy gościu!

Zawstydzeni piraci spuścili oczy i niepewnie szurali nóżkami. Zosia poleciła im wynieść wszystkie śmieci i pozamiatać jaskinię, a sama zajęła się przygotowaniem posiłku. Wyjęła z torby pepsi-colę, kanapki z serem, herbatniki i trochę krówek. Przykryła stół ręcznikiem, a potem ostrożnie wychyliła się za drzwi i zerwała kilka kwiatków ze skały obok wejścia.

— Kiedy piraci wrócili do swojej wysprzątanej jaskini, ujrzeli biało nakryty stół, na nim kwiaty w słoiczku i ładnie ułożone smakołyki. Już chcieli rzucić się do stołu jak zwykle, kiedy Zosia palcem pokazała im miskę z wodą i mydło.

— Najpierw łapska — powiedziała.

Piraci, potulni jak owieczki, stłoczyli się przy umywalni i dopiero kiedy wyszorowali ręce, usiedli grzecznie przy stole.

— Bardzo ładnie — pochwaliła ich Zosia, która już przedtem zdążyła się umyć, uczesać i zawiązać równo kokardki. — No, to smacznego! Jedzcie, chłopcy. Tylko grzecznie i powoli. Każdy ma swoją porcję.

## TAWERNA

Smok widział z góry tylko to, że Zosia została zamknięta w skalnej jaskini. Zrobił jeszcze kilka okrążeń, wzbił się wyżej, potem opadł nieco niżej, aż wreszcie poczuł, że jest strasznie głodny. 38 — Jeść albo cześć — powiedział głośno. — Obiad, kolacja albo śniadanie, albo wręcz wszystko razem. Zjadłbym słonia : konia, trzy bawoły i dwa stoły i w ogóle wszystko jedno co, byle dużo.

Wylądował wśród drzew i zaczął przebierać wśród ananasów, kokosów, bananów i innych smakołyków.

— Dziwna rzecz — powiedział sobie — taki byłem głodny, a tu proszę, wcale nie mam ochoty na tę zieleninę. Porządny mięsny obiadek, oto czego mi trzeba!

Wzniósł się w powietrze i poszybował w kierunku północno-wschodnim, gdzie jak wiedział, nad brzegiem morza znajdował się niewielki port, a w porcie — portowa tawerna. Odwiedził ją już kilkakrotnie w ciągu ubiegłego roku i za każdym razem był zachwycony tamtejszą kuchnią.

Około południa wpadł przez okno do sali jadalnej w portowej tawernie, usiadł przy największym stole i zamówił u przebiegającego kuchcika wielki obiad z pięciu dań:

Na pierwsze zupę z raków.

Na drugie barszcz ukraiński.

Na trzecie pieczeń z pyzami i ogórkiem.

Na czwarte kotlet schabowy z buraczkami.

Na piąte szaszłyki z cebulą, a do tego kaszę gryczaną.

Wszystkie te wspaniałości stały oto przed smokiem i pachniały smakowicie.

A smok... smok wcale nie miał na nie ochoty. I jak się dobrze zastanowił, to zrozumiał, że chce tylko jednego. Że mięso, zupy i jarzyny straciły dla niego swój urok. Chciał jeść krówki, tylko krówki, kochane, słodkie, pachnące króweczki śmietankowe.

Ale krówek nie sprzedawano w portowej tawernie.

Smok, ciężko wzdychając, spróbował zupy z raków — i odstawił talerz.

Liznął barszczu — i skrzywił się z obrzydzeniem.

Z niechęcią spróbował pieczeni — i ona mu nie smakowała.

Na szaszłyki nie mógł wprost patrzeć.

— Nie! — ryknął żałośnie. — Krówek! Krówek! Krówek chcę! Gdzie jest moja Zosia, gdzie? Gdzie jest moja mała, śliczna krówkowa dziewczynka?

— Kto tu pytał o Zosię? — rozległ się nagle jakiś dziarski głos. Smok spojrział w dół i zobaczył małego, ale nadzwyczaj dzielnego chłopca w okularach. Chłopiec na ramieniu miał czerwonego ptaka, opierał się swobodnie o stół i wyglądał tak, jakby się wcale smoka nie bał.

— Ha! — ryknął smok, zrywając się od stolika. — Pulpet! O, poczekaj! Zapłacę ja ci teraz za gumę balonową!

— E tam — powiedział Andrzej. — Wcale się nie boję.

— Jak to? Nie boisz się? — zdenerwował się smok.

— Nie — odparł Andrzej. — Co to mówiłeś o Zosi?

— Zosieńka... — rozczulił się nagle smok. — Ach, kiedy znów zobaczę to słodkie dzieciątko...

Miała w torebce takie pyszne króweczki... a teraz... Wrrr! — warknął nagle. — Na pewno już je zjedli piraci!

— Piraci?! — krzyknął Andrzej. — Mów natychmiast, gdzie widziałeś Zośkę po raz ostatni?!

— Jak to gdzie? — zdziwił się smok. — No, wiozłem ją na plecach, bo szukała właśnie ciebie, pulpecie, aż tu nagle napadli nas powietrzni piraci i zabrali ją do swojej jaskini!

— Oj! — zawołał Andrzej, łapiąc się za głowę. — Zawsze jakieś kłopoty z tą dziewczyną! Już nie mam na to wszystko zdrowia!

— Ciekawe — zauważył smok. — Ona tak samo mówiła o tobie.

— Nie wtrącaj się — burknął Andrzej. — Lepiej wstawaj od stołu. Pokażesz nam, gdzie ta jaskinia.

— Bardzo chętnie — zgodził się smok. — Może jeszcze piraci nie wiedzą o tych krówkach? A jeśli wiedzą, to może jeszcze nie zdążyli ich zjeść — dodał bez przekonania.

## BIEDNI PIRACI

Był już wieczór i piraci rozpalili ogień w jaskini. Zosia sprzątnęła ze stołu i przykazała im, żeby starannie umyli naczynia. Potem wszyscy usiedli wokół ognia i śpiewali smętne piosenki.

— Dlaczego zawsze jesteście tacy smutni i źli? — spytała Zosia. — Jeszcze nie widziałam, jak się śmiejecie.

— Pewnie, że nie widziałas — powiedział jeden pirat.

— Bo my się nigdy nie śmiejemy — dodał drugi.

— Z czego tu się śmiać? — westchnął trzeci.

— Życie nasze jest smutne i jednostajne — uzupełnił dowódca powietrznych piratów. — Niby to żyjemy wspaniale, latamy, walczymy na szpady, ale właściwie to nie mamy dokąd latać i nie mamy o co walczyć. Szczerze mówiąc, nie mamy absolutnie nic do roboty.

Pirat, siedzący obok Zosi, westchnął i złożył głowę na jej ramieniu:

— Od czasu do czasu drażnimy trochę naszego lwa — wyznał. — Ale i on się do nas przyzwyczaił. My w niego patykami, a on ziewa. Tak że właściwie jedyną rzeczą, jaka nas bawi, jest zdobywanie jedzenia.

Zosia aż westchnęła ze współczucia.

Dowódca piratów dorzucił do ognia. Płomień zahuczał i oświetlił wszystkich pomarańczowym blaskiem.

— Złapaliśmy kiedyś ładnego czerwonego ptaka — powiedział dowódca ze smutkiem. — Zrobiliśmy mu śliczną złotą klateczkę i karmiliśmy pysznymi cukierkami, Ale on wcale nie chciał być naszym przyjacielem. Którejś nocy uciekł.

— Albo ten chłopiec w helikopterze — dodał drugi pirat. — Tak nam się podobał! To by dopiero był kolega! Ale cóż, i ptak, i chłopiec znikli z naszego życia.

— Albo małpki. Takie były miłe i wesołe. Zawieźliśmy je na naszą ulubioną wyspę. A one na nas pluły i krzyczały, i w końcu zabrał je chłopiec z helikoptera. Nie mamy szczęścia do przyjaciół. O, nie...

— Teraz mamy ciebie — powiedział z zadowoleniem dowódca piratów i pogłaskał Zosię po głowie. — Będziemy cię pilnować i nigdy nam nie uciekniesz. Już zawsze będziesz z nami w naszej jaskini.

Zosia słuchała ich z otwartą buzią.

— Jak to? Więc porwaliście mnie, bo nie mieliście się z kim bawić?

— Otóż to — przytaknął dowódca piratów.

— I nie chcieliście mnie zabić ani ograżyć?

— Skądże — zamruczeli piraci. — My jesteśmy zupełnie nieszkodliwi. Nudzimy się po prostu.

— Oho! — rozgniewała się Zosia. — Na coś takiego to ja patrzeć nie mogę! Wy jesteście po prostu samolubny i lenie! To nieprawda, że nie macie o co walczyć! Zawsze znajdzie się ktoś, komu potrzebna jest pomoc.

Zawstydzeni piraci, którym nikt nigdy jeszcze nie mówił tak ostrych słów, pospuszczali głowy i nie odzywali się.

— A właściwie dlaczego nie chodzicie do szkoły? — spytała.

— Do szkoły? No, nie! Jeszcze tego brakowało! Po co nam nauka i obowiązki? Teraz nam lepiej, mamy tu wszystko, z wyjątkiem rozrywki.

Zosia poczuła, że jest jeszcze za mała, by wychowywać powietrznych piratów.

— W każdym razie na pewno moglibyście sprzątnąć i poukładać wszystko w tej waszej ohydnej jaskini! — krzyknęła. — No, proszę! Układajcie ubrania, zmieńcie pościel w łózkach, wstrętne brudasy!

Piraci posłusznie rzucili się do pracy i sapiąc, uwijając się i dysząc — w ciągu dziesięciu minut zrobili w jaskini nadzwyczajny porządek.

— Świetna zabawa! — wołali. — Jeszcze, Zosiu, jeszcze!

Ale nie zdążyli się już zabawić, bo oto przed wejściem do jaskini rozległ się okropny ryk, aż zatrzęsała się cała góra.

## POŻEGNANIE

Drzwi otworzyły się gwałtownie, pchnięte z zewnątrz z olbrzymią siłą. Wylęknieni piraci zbili się w ciasne stadko. Zosia czuła, że jej serce bije głośno z przestachu. Ale po chwili przestała się bać, w otworze bowiem ukazała się znajoma gęba smoka, a za smokiem, w towarzystwie czerwonego ptaka, wszedł Andrzej z wielkim kijem w dłoni.

— Łotry! — krzyknął bohatersko. — Oddajcie mi moją siostrę!

Zosia wyszła z kąta na środek jaskini.

— Tu jestem — rzekła. — Zdrowa i cała.

Andrzej spojrział na nią, starannie ukrywając radość. Zawsze uważał, że z dziewczynami trzeba ostro.

— Cześć, Zośka — mruknął. — Nic ci nie zrobili?

— To bardzo mili chłopcy — oznajmiła Zosia.

Smok podbiegł szybko do dziewczynki i zajrzał do jej torby.

— Króweczki zjedzone? — spytał boleśnie.

Późnym wieczorem, kiedy już prawie ochrypli od śpiewania, Zosia wstała, spakowała torbę i zarzuciła ją na ramię.

— Na nas już czas — powiedziała.

Zapadła cisza. Piraci patrzeli na nią z niedowierzaniem, a w ich oczach pojawiły się łzy.

— Nie puścimy was! — krzyknął dowódca. — Za nic w świecie!

— Musimy wracać — powiedziała Zosia stanowczo. — Mama na nas czeka i na pewno bardzo się martwi.

Piraci płakali, kryjąc twarze w brudnych chustkach do nosa.

— Będziemy was odwiedzać — obiecała Zosia.

— Co do mnie — oświadczył smok — lecę z wami. Nie mogę już żyć bez krówek śmietankowych.

Dowódca piratów zerwał się na równe nogi.

— To my też lecimy! Chcemy zapisać się do szkoły!

Andrzej i Zosia spojrzeli na siebie niepewnie. Ale nic już nie mogli powiedzieć, bo piraci wyfrunęli przed jaskinię i ustawili się szeregiem za ogonem helikoptera. Smok stanął za ostatnim w rzędzie piratem i wszyscy czekali na sygnał do startu.

— No, no — odezwał się Wicio nad uchem Andrzeja. — Ciekawe, co na to wszystko powie wasza mama?

— My możemy spać na balkonie! — wrzasnęli piraci. Wsadzili Zosię, Andrzeja i Wicia do helikoptera, po czym wszyscy razem wystartowali.

A jeśliby kto sądził, że mama Andrzeja i Zosi gniewała się, kiedy dzieci przyprowadziły do domu Wicia, piratowi smoka — to myliłby się całkowicie.

Wcale się nie gniewała.

Ucieszyła się, że widzi swoje dzieci zdrowe i wesole.

A poza tym — ona bardzo lubi gości.